Czubek periodyczny

Skład redakcji:

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

Nr 3/2015 15.04.2015



„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg

Przesłanie „Czubka"

Wyruszył statek w rejs po Arktyku,
myśmy maczali w tym głowę!
Obija dziób swój wśród fal bezliku
i pruje góry lodowe.

Ma pod pokładem skład słonej wody,
a składa się z samoróbek.
Drugi oficer znalazł powody,
byśmy ochrzcili go „Czubek".

„Czubek" się zowie – pytacie, czemu,
bo przecież nie po próżnicy.
Czyżby przypłynął zza LSM-u,
czy zza Dziesiątej Dzielnicy?

Nie, moi mili. Z takim odczytem
główcie się bodaj do zmierzchu.
Czubek jest górą. Czubek jest szczytem.
Czubek jest zawsze na wierzchu.

Ot, wyławiamy Wam w wartkim nurcie,
skąd zacne imię się wzięło.
Dzieł jest po stokroć na każdej burcie,
a **„Czubek" nasz wieńczy dzieło**.

I do Was, w których morski wilk drzemie,
dziś błyska latarni łuna.
Razem na „Czubku" opłyńmy Ziemię
wokół naszego bieguna.

Michał Maciąg, *Czubek (360)*

7 kwietnia 2015 r.



Maria Kozak

Wolność - swoboda czy zobowiązanie?

Nauczycielka stuknęła kredą w tablicę. To jest temat wypracowania, które macie napisać na poniedziałek. Nie obowiązują nieprzygotowania. Klasa aż jęknęła. Temat brzmiał: „Wolność - swoboda czy zobowiązanie?”. - Praca może mieć dowolną formę - ciągnęła nauczycielka - listu do przyjaciela, rozprawki, swobodnych rozważań, jeśli ktoś chce, to może się pokusić nawet o wiersz. Taaa… Jaasne… Nie omieszkam napisać o tym trzynastozgłoskowcem - myślałam ironicznie. Bardzo lubię polski i wszelkiego typu wypowiedzi pisemne, ale tym razem kompletnie nie czuję tematu. Jasny gwint! Żadnego pomysłu. Pustka w głowie. No, i jeszcze te trzy sprawdziany i siedem kartkówek w przyszłym tygodniu… Westchnęłam i ołówkiem zanotowałam na marginesie hasło „WOLNOŚĆ OD KARTKÓWEK!”. Tak, to zdecydowanie byłaby swoboda…

Wracając do domu, poświęciłam chwilę na zastanowienie się nad polskim. „Swoboda, czy zobowiązanie?”- dobre pytanie, swoją drogą, myślałam. Może nawet problem egzystencjalny… Aż wywróciłam oczami do swoich myśli. Serio? Problem egzystencjalny? Za dużo literatury, zdecydowanie za dużo… A za mało rozmów z rówieśnikami, westchnęłam w myślach, sama do siebie…

Po powrocie do domu nie zabrałam się do polskiego. Skądże znowu. To może poczekać do jutrzejszego wieczoru. Jest dopiero piątkowe wczesne popołudnie i nie warto go sobie psuć. Zamiast tego usadowiłam się w łóżku z powieścią Siesickiej, kubkiem herbaty, kotem na kolanach i z piosenkami Marka Grechuty, dobiegającymi z odtwarzacza. Już po paru minutach zagłębiłam się w losy bohaterów książki. Nagle drgnęłam. Zerwałam się na równe nogi, zrzucając kota z kolan. Skoczyłam do odtwarzacza i przewinęłam płytę do początku piosenki. „Wolność to diament do oszlifowania (…) to skrzypce z których dźwięków cud potrafi wyczarować mistrza trud…”… To było to! Znalazłam inspirację! A to już połowa sukcesu… Teraz tylko niech myśli ukształtują się w słowa, a słowa w pełne zdania… Szybko! Zanim myśl ucieknie!...

Szybko złapałam brudnopis i długopis, usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać. Jak zwykle w takich momentach, miałam poczucie, że nie tworzę, że tylko zapisuję coś, co Ktoś dyktuje mi do ucha. Ledwie nadążałam z zapisywaniem. Ten Głos słyszałam już nie z płyty, lecz w swojej głowie. Zły znak, nie?

Zobowiązanie. Zdecydowanie i bezdyskusyjnie. W tym miejscu się zawahałam - czy to nie jest powtórzenie? Nie, jest okej, to trzeba podkreślić, może tak zostać. *Co prawda, okowy mogą być*

ciężkie, a ściany grube - ale chronią. Chronią przed stoczeniem się w przepaść, przed upadkiem w bezdenną otchłań. Kraty muszą być gęste, tak żeby nie przedostał się przez nie żaden, nawet najmniejszy promyczek światła. To chyba drobna przesada… Ale nie. Jeżeli Autor tak uważa, to ja się z nim zgadzam. On zawsze ma rację. A jeśli się myli - patrz wyżej. *Bo jeśli raz zasmakujesz wolności, światła, powietrza… już zawsze będziesz ich pożądać.* „Kto pod niebem gołym spał chociaż jeden raz, temu chwili tej wciąż będzie brak”- te słowa piosenki bezwiednie przychodzą mi do głowy. Po prostu same tam wskakują. Ale Twórca nie znalazł dla nich miejsca w tej pracy, więc ja też nie będę ich tu wciskać. *Uważaj! Wolność to straszne brzemię!* Serio? Nie przesadzasz? *Wymaga odpowiedzialności za samego siebie!* Głos nie zraża się moim sceptycyzmem. I dobrze. Nasza polonistka uwielbia taki patetyczny styl. *Dasz radę? Na pewno?* Nie, nie dam, mam ochotę odburknąć, ale cierpliwie notuję dalej. Najwyżej później to przeredaguję. *Pomyśl - przed nikim nie odpowiadasz, nikomu się nie tłumaczysz- (…), nie?* Tu przez chwilę się zawahałam… W końcu pani może tego nie zaakceptować, zwłaszcza, jeśli każe mi to przeczytać na głos… Ale co tam. Nic mi nie zrobi, w końcu z reguły jestem *aniołkiem*. A z resztą, zawsze, kiedy piszę to, co On mi każe, dobrze na tym wychodzę. *Są jednak dwa niebezpieczeństwa z tym związane* - Tylko dwa? *Które gorsze?* A jaka jest alternatywa? *Pierwsze to to, że nie załapiesz, że przeginasz, że jest wolność, tylko…* Oho, znalazł się znawca natury ludzkiej. Tylko co? *tylko co?* Jezu, czy On odpowiada na moje pytanie, czy po prostu mnie ignoruje i snuje dalej swój wywód? Mam nadzieję, że to drugie… To, że słyszę w głowie głosy, czy raczej Głos - to jedno. Ale jeśli zaczynam z nimi rozmawiać, to już NAPRAWDĘ zły znak… *Rozpusta, swawola, ograniczenie cudzej wolności.* O tak, zabawmy się w synonimy. *Gdyby wszyscy tak robili to… to byłaby sieczka, i tyle.* O ho, ho. Naprawdę, nie wiem, jak ja to przeczytam, jeśli będę musiała. *Chyba, że masz wrażliwe sumienie.* Ja to mam przewrażliwione. *Albo gorzej - przewrażliwione sumienie.* Coraz bardziej martwię się o swoje zdrowie psychiczne. *Po prostu dwadzieścia cztery godziny na dobę,* siedem dni w tygodniu - dopowiadam w myślach - *myślenie: czy nie nadużywam swojej wolności? Czy nie popadam w rozpustę?* Tak to na pewno nie pomyślę, ale posłusznie notuję to, co mi każe. *A tak nie da się żyć.* No co ty? Poważnie? *Wolność… jest straszna.* I tu się zgadzam. *Bo tylko odpowiedzialne i świadome jednostki potrafią z niej odpowiednio korzystać. A, niestety, takich jednostek jest bardzo mało. Zbyt mało.* Tutaj ponownie się z Nim zgadzam. *Wolność powinna być wydzielana. Wydzielana tym, którzy są w stanie z niej skorzystać. Bo wolność to wielkie zobowiązanie.* No i jest. Teraz tylko przepisać to na czysto i gotowe! Chociaż… nie. Jeszcze jedna myśl: wolność to swoista obietnica. Jeśli ktoś się jej podejmuje, to musi pozostać jej wierny do końca. A! I jeszcze można by nawiązać do rozbiorów, że jako Naród na nie zasłużyliśmy, bo nie szanowaliśmy tej naszej słynnej wolności i to się na nas zemściło. Nad dobro Państwa przedkładaliśmy prywatę itp., itd.

Ale to już jutro będę martwić się tym, gdzie to wcisnąć. Grunt, że mam już szkielet, swoistą podstawę do pracy. Może tradycyjnie dostanę piątkę, jak pani zbierze zeszyty i po prostu nie będę

musiała czytać tego na głos? A może każe mi to przeczytać i dzięki temu chociaż trochę zburzę swoją opinię świętoszki w świadomości zbiorowej klasy. Właściwie to mogłabym już wrócić do czytania, gdyby… Gdyby tylko przestało mnie męczyć to uporczywe pytanie, które słyszę w głowie od co najmniej kwadransa: „A czy TY zasługujesz na wolność?” Moja herbata chyba już wystygła…



Michał Maciąg

Na naukę (243)

Prawidło to stoi przy każdym rozumie:
im więcej się uczy, tym więcej człek umie.
A jednak stwierdzili też mędrcy przytomni:
im więcej człek umie, tym więcej zapomni.
I oto problemu największe zarzewie:
im więcej zapomni, tym więcej człek nie wie.
Stąd prawda jest prosta i każdy ją kupi:
Im więcej człek nie wie, tym bardziej jest głupi.
Otwórzmy więc mądrość po każdym z tych kluczy:
tym bardziej człek głupi, im więcej się uczy.

25 maja 2014 roku



Bartłomiej Figura

Historia jednego meczu

Dla Tego, który (mam nadzieję) wie, że to dla Niego.

„Powiem tak. W tej ostatniej minucie łeb mu po prostu nie pracował.”

Zbigniew Boniek, 12.06.2008r.,

(podsumowanie decyzji Howarda Webba

o rzucie karnym dla reprezentacji Austrii w meczu z Polską)

Poniższy tekst zawiera elementy i motywy rzeczywiste.

No, nie pracował, bo jak, choroba, miał pracować! Była noc. Znaczy, przepraszam, był dzień. Poranek wdzierał się do domu hukiem samochodów z alei Spółdzielczości Pracy. Byłem wściekły? Nie, szczerze, to wściekłość minęła po upływie tych paru godzin od ostatniego gwizdka Anglika. Co to w przyszłym tygodniu? A, trening w poniedziałek. No, dobra. Rozejrzałem się po pokoju. Kwiatki stały jak zwykle, świerszcz na ścianie spał dalej, a żarówki nie były jeszcze rozwalone przez piłkę. Parkiet błyszczał się w czerwcowym słońcu. Siedziałem przed ekranem monitora. Komputer już odpalił, ale nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Wstałem z krzesła, poszedłem do kuchni i wypiłem wodę. Szklanki z poprzedniego dnia (nerwowy przecież był ten mecz) stały w równym rządku. W zlewie leżały jakieś miski (żebym pamiętał, co jadłem na kolację, na pewno!), a w mieszkaniu nie było nikogo. Przechadzałem się więc po pokoju, myśląc o wszystkim i o niczym. W końcu podszedłem do okna weluksowego, uchyliłem je szerzej i spojrzałem na miasto. A widok stamtąd rozciągał się wspaniały. Z wysokości czwartego piętra panorama Lublina malowała się niesamowitymi barwami. Stare Miasto było widoczne w pełnej krasie. Zamyśliłem się przez chwilę. Moment później wyciągnąłem ręce do przodu. Dachówki jak zwykle były gorące. Wyjść na dach nigdy się nie udało. Analizowałem ruch na dolnych poziomach. Ileż to razy kartka, która wypadła mi przez ten otwór zmuszała do wysiłku zejścia na dół i okrążenia całego bloku. Na czerwonej ulicy Sekutowicza panował błogi nastrój pewności i spokoju. Oddaliłem się od okna i schyliłem się przy regale. Skosy w tym miejscu były bardzo dokuczliwe. Chociaż trzeba jednak przyznać, że mój tata zadbał o naszą wygodę, wymyślając koncepcję zrobienia nam w domu architektonicznej „stodoły”, tzn. wyburzając bardzo nisko położony strop na rzecz strzelistego, wręcz „gotyckiego” sufitu. Przeglądałem książki z rodzinnej biblioteczki. Czego tam nie było! Biblioteczka National Geographic, „Świadkowie świadka” i wiele innych tytułów. To na niższej części tego mebla. Na samym dole natomiast tego fragmentu znajdowało się miejsce bardzo interesujące, którego bogactwo docenić mogę dopiero dzisiaj, a mianowicie półeczka z trunkami ze wszystkich części świata, które ojciec przywoził z teatralnych podróży. (Bez niepotrzebnych skojarzeń – jestem abstynentem.) Dzisiaj w większości już ich nie ma, ale najbardziej ozdobna była chyba butelka przywieziona bodajże z Peru, w kształcie jakiejś chyba indiańskiej maski. Dział warty większej uwagi. Przejrzałem więc znowu wszystkie flaszki i zdecydowałem się zajrzeć do internetu. A więc szybko – najpierw, standardowo, Sport.pl – i już miałem dosyć. Tego dnia taka tematyka mogła mnie głównie denerwować. Howard Webb, Howard Webb, Howard Webb, ale ile można? Poprzedniego dnia pan premier mówił chyba, że miał ochotę go zamordować. Nie ma co, temat jeszcze na jakiś dzień, a potem internauci i tak nie odpuszczą. Dalej nie mając zajęcia sięgnąłem po jakieś notatki ojca. Wtem drzwi poruszyły się, raz, drugi. Zadrżały

w posadach i umilkły. Minęła chwila i otworzyły się tradycyjnym sposobem. Do przedpokoju wkroczyła, dobrze mi znana, sąsiadka, mieszkająca dwa i pół metra niżej. Zdziwiło mnie to – nie spodziewałem się gości.

– Rodziców nie ma. – zacząłem, ale ona tylko machnęła ręką i weszła do małego pokoju.

– Rodziców nie ma. Więc... – ale nie pozwoliła mi dokończyć.

– No, przecież widzę, że nie ma. I właśnie... Znaczy, jak to się otwiera?! – Mocowała się z blaszanym kurkiem, mającym ogromne znaczenie symboliczne.

– Przepraszam, ale nie mam dyspozycji by to komuś udostępniać. – zareagowałem.

– Ale kto je wydaje? – spojrzała zrozpaczona. Odpowiedź był stanowcza i brutalna.

– Ja sam. Czego pani tu szuka? Nie ma tu niczego poza niemiecką kiełbasą, niemiecką grą i niemieckim psem.

– Co takiego?

– Niech pani zamknie te drzwi i usiądzie. Ten problem wymaga szerszego omówienia. – wykonała moją instrukcję i usiadła na kanapie w salonie.

– Mamy tutaj konflikt niezbywalnych praw, połączony z nieubłaganym upływem czasu. Jest to coś odwiecznego i nie do pogodzenia. Jest to jakaś prawda, która szans na swoje zaistnienie szuka w zgaśnięciu Słońca lun dotarciu za czwartą kataraktę na Nilu.

– Pozwolisz, że ci przerwę? Dobrze, mam pytanie – czy ty zawsze jesteś taki zryty czy tylko dzisiaj?

– Pani pytanie jest wielce problematyczne. Czy chce mi Pani coś zasugerować? Wie Pani, zależy jak rozumiemy kategorię zrycia. Sens tego jest również uzależniony od pewnego przeznaczenia naszych umiejętności. Na przykład taka poezja, czy, ot, chociażby szkoła. A może jednak nie? Niech Pani zobaczy. Na tym suficie ścierają się różne koncepcje kształtowania rzeczywistości. Każda kropla wody symbolizuje coś innego, coś, co jest płynne i ciągle się zmienia. Spójrzmy dalej, czym jest ten sufit ze spadającą na niego wodą dla człowieka, który pracuje na komputerze? Jest ciągłą płynnością i ciągłą zmianą. A także ciągłym oczyszczeniem. Człowiek rozpalony przez polityczne czy okołosportowe spory, schłodzony taką kroplą, zaledwie małą kroplą, zmienia całkowicie swoje podejście do wszystkiego. Tak, woda, życiodajne źródło wszelkiego pokoju.

– A chleb? Czym jest wobec tego chleb? Czy chleb nie jest oczyszczeniem?

– Chleb jest umocnieniem czystości już istniejącej. Potwierdzeniem stanu, który już się stał i wsparciem tego co ciągle się staje. Stawanie się ujmuje się bardzo pięknie, w każdym elemencie tego procesu zmian, towarzyszącego nam cały ten czas. Niech Pani zobaczy, tutaj mamy sytuację zastaną, a jednocześnie ciągle stającą się. Bo wszystko ciągle się staje, ciągle podlega jakimś zmianom. Czy więc ma sens tworzenie filmików obrażających Anglika, zamiast przebaczyć mu, jeśli coś źle uczynił? Czy ma sens? Nie, nie ma.

– Sufit sufitem, ale co dalej?

– Odpowiedź na to nie należy już do mnie. Ani do pani.

– Więc... do kogo?

– Jeszcze się pani nie domyśla? Powierzyć Bogu wszystko, cały swój los i wszystko, co się wydarzy. Nie zastanawiać się za bardzo, nie ufać swojemu rozsądkowi, ale zaufać Panu. Jak jest napisane w Księdze Przysłów: „Z całego serca Bogu zaufaj, nie polegaj na swoim rozsądku."

– A cała reszta? A te kawki? – wskazała na wywietrznik w kuchni, przez który ptaki usiłowały dostać się do środka.

– Nie lubi pani kawek? – uśmiechnąłem się – Przecież to też stworzenia Boże. Wpuśćmy je do środka.

– No, coś ty. – zdziwiła się, twierdząc, że to absurd. Ja tymczasem poszedłem na strych, położony naprzeciwko drzwi do naszego mieszkania, wziąłem drabinę i rozstawiłem ją w kuchni. Wdrapałem się na nią i otworzyłem wywietrznik, kawki wpadły do środka, szalały, śmigały, powodowały niesamowite zamieszanie, mówiły, że jest życie i jest przyszłość. Biegałem za nimi, skakałem, cieszyłem się każdą chwilą, tak cenną i tak prawdziwą. Moja sąsiadka patrzyła się na to z wyraźną dezaprobatą, a jednak ja robiłem swoje. Chwilę później stwierdziła, że musi już iść i dalej kręcąc głową opuściła mój dom. A przecież robiłem to, co robić powinni wszyscy. I byłem po prostu zwyczajnie szczęśliwy. Za jakiś czas wrócił tata, a kawki siedziały na krzesłach i półkach. Gdzieś w trakcie zabaw z tym uosobieniem wolności, rozwaliłem sobie rękę. Gdy tata, zdziwiony tym, co zastał w domu, podawał mi „Przegląd Sportowy" na jego zaskoczenie odpowiedzieć mogłem tylko w jeden sposób: A „jakie to szczęście, że krew jest czerwona!" Na okładce gazety wielkimi literami wydrukowano pytanie: „Dlaczego?", a klęczący na murawie Roger Guerreiro zdawał się potwierdzać brak większego sensu w wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Tak, po tym rzeczywiście można było mieć wątpliwości, czy jestem normalny. Ale dzisiaj wiem już na pewno, że wszystko to miało sens inny i głębszy. Żebym mógł to dzisiaj wykorzystać i zachwycić się życiem.



Bartłomiej Figura

Tego się nie domyślaliście

Jesteście zaskoczeni poprzednim tekstem? Możliwe, że tak. Część osób pewnie nawet bardzo. Część może trochę mniej.

Poniższe dzieło, z początku totalnie surrealistyczne, ale później idące w coś innego, może przybliżyć wam trochę, jak to się stało, że ja, Bartłomiej Figura, napisałem to, co powyżej. Jednocześnie podkreślam, że chronologia jest tam zakłócona również na poziomie wspomnień. Prawda, że to „szczęście, że krew jest czerwona"? :)

Nie, to nie był sen. Prawda jawiła się równie ostro jak kłamstwo. Sałatka owocowa zjadała kiełbasę, a szynka próbowała pożreć sernik. Nie byłem w stanie dłużej tego oglądać. Zamknąłem więc Bramę Pokarmu i zamilkłem. Gdzieś obok mnie usłyszałem stukot. Cicho podszedłem do ściany. Dziwnym trafem w pewnych miejscach robiła się niebieska. Wyciągnąłem komórkę. Tak, nie było

wątpliwości. Był 7 kwietnia 2034 roku, Wielkanoc, godzina 05:05. Przyłożyłem ucho do podpory mojego mieszkania. Wychwytywałem dźwięki. Ja, który słuch muzyczny mam, cóż, delikatnie mówiąc, nie najlepszy, to akurat miałem wyćwiczone do perfekcji. Nie darmo pracowało się przez 12 lat dla Amerykanów. Ale nic nie było słychać. Odsunąłem się i obserwowałem mój własny mikroświat, ograniczony do rozszerzonego modelu D360. Wstawiłem wodę na herbatę i wyjąłem dzika z piekarnika. Trzeba jednak przyznać, że tym razem mi nie wyszedł. Gdzieś był niedopieczony, gdzieś pachniało spalenizną. I jeszcze do tego woda kapała z sufitu. Z całego sufitu. Ba!, kapała, lała się strumieniami. Powódź stulecia zalewała mój dom, a Architekt z naprzeciwka, nic sobie z tego nie robiąc, planował nadbudowę. No, po prostu! – Wartości! – ocknęło mnie. Wymierność podstaw do niewymierności rzeczywistości. Wymierność rzeczywistości do niewymierności podstaw. Liczby, liczby, liczby... – Przyjrzałem się w lustrze. Cosinus kąta między włosem A236b a A236c wynosił -0,34. O 3 stopnie za dużo. Trzeba skorygować. Dla zdrowotności. Spojrzałem na zegarek i wybiegłem na pustą przestrzeń. Brzozy kiwały się równymi prawami, a ich prostolinijność budowała pomost ku ścieżce skierowanej w kierunku sadu. Cóż miałem rzec, mogłem się tylko uśmiechnąć i przypomnieć obraz tamtych dni. Każdy dzień, minuta, pomiędzy lekcjami, potomkami Piastów a piłką. Nie było możliwe inaczej i nie miało być inaczej. Liga Mistrzów, Puchar UEFA [ktoś pamięta jeszcze te nazwę? ;)], i wszystko inne, co tylko się dało. Dosłownie. Bez wyjątków. Treningi piłkarskie, służba przy ołtarzu. Były swego czasu transmisje Copa Libertadores. Nie pozwolono mi – szkoła. I potem odtwarzanie – z kasety. Możemy tak dalej. Taka autorefleksja i zachwyt nad życiem. Jedno z zajęć w czasie wolnym, gdy nie miałem co robić – odtwarzanie meczów Mundialu 2006. Chyba dalej mam w domu kronikę tego turnieju (Z czego to nagrywanie wynikało? Nienormowany czas pracy taty?). Potem dalej. Euro 2008 – eliminacje, czas najbardziej intensywnego wysiłku również dla mnie – robiłem wówczas, co się dało, czego tylko mogłem się chwycić. Potem sam turniej na boiskach Austrii i Szwajcarii – po co to wymieniam, skoro wszyscy dobrze pamiętamy te fakty? Dla własnego przypomnienia sobie dawnych czasów. Z tego turnieju, pomijając mecz z Austrią, najbardziej zapamiętałem chyba jednak szalenie nudny, ale mający świetną końcówkę pojedynek Turcji z Chorwacją. Dalej, co mi się kojarzy, to chociażby początki większej kariery Luki Modricia czy popisowy ćwierćfinałowy mecz Rosji z Holandią. Jakby ktoś chciał, to z tamtych lat mam pełno „Przeglądów Sportowych". Świetny materiał dla archiwistów. Co ciekawe, jak tylko się stamtąd wyprowadziliśmy, osiedlowy spożywczak zwinął interes. Przypadek? Nie sądzę. Przecież to było „wariactwo". I jeszcze na basen do Świdnika. Nie wierzę. Ale muszę. (Bez wątków politycznych.) Każda godzina, minuta, pierwsze próby poetyckie. (A od tej strony za bardzo mnie nie znacie.) Groch z kapustą rzucany o ścianę, a trochę wcześniej zabawy w zamach stanu dokonywany przez Platformę (autentycznie, jeszcze za krótkich rządów PiS-u). I niech ktoś mi powie, że to nie była pasja od początku! :) Po co ten powrót? Nie wiem, jest mi w jakiś sposób potrzebny. I chociaż może nie ma wpływu na fabułę, a wręcz ją rozbija, jest bardzo ważny. Po co ten powrót? Bo żyję. Bo teraz w końcu mogę powiedzieć, że naprawdę żyję i świat jest przede mną. W jego barwach i w jego pięknie. Uporządkowany. A także dlatego, że Ktoś mi przypomniał, że coś takiego jak sport rzeczywiście istnieje. Tej osobie, również za to, bardzo dziękuję. Bo czyż nie jest „nienormalne" oglądania nagle meczów sprzed wielu lat i poczucie, że warto i że można? Pewien człowiek pytał mnie niedawno, co ludzie w tym widzą. Dzisiaj mogę mu odpowiedzieć – nie wiem. Wiem natomiast, że mają rację, choćby inni twierdzili, że to bzdury. Bo, jak powiedział Bill Shankly, piłka nożna to coś znacznie poważniejszego niż sprawa życia i śmierci. Podobnie jak i całe sportowe życie naszego świata.

■

Michał Maciąg

Pochwała ostatnich (256)

Co pierwsze, ważne, lecz o to mniejsza,
w płot poszła wasza kula armatnia.
Nie pierwsza miłość jest najważniejsza,
a najważniejsza jest ta ostatnia.

Co pierwsze, w dziennik wpisać wzorowo,
ale cóż po tym, gdy kto was natnie.
Nie najważniejsze jest pierwsze słowo,
a najważniejsze jest to ostatnie.

Kto pierwszy – lepszy, ot – żarcik krzywy,
gdy ci, co pierwsi, są pierwsi stratni.
Nie najmocniejszy jest pierwszy żywy,
a najmocniejszy jest ten ostatni.

Ostatniej woli słuchasz otwarcie,
pierwszą wyklinasz tylko w ukryciu.
Ostatniej chwili czekasz uparcie,
pierwszej nie będziesz pamiętać w życiu.

Ostatnie fakty ważą na szali,
pierwsze są tylko reszty przyczyną.
Ostatnich wszyscy będą czekali,
pierwsi się wszystkim tylko przewiną.

Pierwsi za mądrość na słupach wiszą.
Pierwsi są niczym, pierwsi są zerem.
Mądrość ostatnich na słupach piszą.
Obym z tą myślą nie był pionierem.

12 czerwca 2014 roku



Szanowny Redaktor

Pan Stanisław (cz. I)

Pan Stanisław nie miał okna. Nie było na świecie najmniejszego okna, które należałoby do Pana Stanisława. W całym swoim domu posiadał jedynie drzwi balkonowe, jednak pozbawione parapetu i widoku, przygnębiały go. Ileż to razy próbując się przez nie wychylić, runął boleśnie na linolealną podłogę balkonu! A ileż to razy, zlewając przez nie zmywaczne pomyje, zanieczyścił własny swój balkon jak rynsztok niegodny!

Żal było ludziom Pana Stanisława. Powiadali o nim, co to „dobrze by na świecie było, kiejby okno miał gdziekolwiek" (a wszędobylski Antoszka Rubaszko dopowiadał, co by to było, gdyby owo okienko Pan Stanisław miał w spodniach).

A pan Stanisław dalej okna nie miał. Ale nawet brak okna nie mógł sprawić, że Pan Stanisław zmieniłby swoje odwieczne nawyki i stałby się kimś innym. Nic, co było ważne w jego codzienności, nie wykraczało poza chęć nieposiadania drzwi zewnętrznych. Był to cel sam w sobie i jakieś poplątanie możliwości skwantowania rzeczywistości lokacyjnej z cybernetyczną wojną szpiegów automobilnych. Coś, z czym się nie dyskutowało i na co nic nie można było poradzić. Coś, co pani Sobiadkowa (sąsiadka z naprzeciwka) określiła kiedyś mianem „pytania elementarnego klatkowej teorii tynku". Życie pana Stanisława zawierało się więc pomiędzy oknem, którego nie było, a drzwiami, których być nie powinno. Pan Stanisław bardzo narzekał na te drzwi. Nie lubił zwłaszcza klamki, wiecznie tej samej i tak ostrej, bezkrytycznie przyjmującej wszystkie obelgi rzucane na nią w zastępstwie klucza spoczywającego dwa i pół metra pod powierzchnią wycieraczki, czyli piętro niżej. Życie pana Stanisława było szare i niczym się niewyróżniające. I byłoby tak może przez lata, gdyby nie fakt, że pewnego ranka...

*   *   *

I

Obudził się w tunelu. Tunel ten (projektowany bez uwzględnienia gabarytów niektórych jednostek) miał szerokość 2 na 1,5 metra. Pan Stanisław nie miał prawa się w nim zmieścić. Jak więc mógł się w nim obudzić? Tego nie wiemy. Wiemy jednak na pewno, że tak się stało. A więc Pan Stanisław obudził się w tunelu. Był to typowy tunel kanalarski nowej generacji, podobny do wielu innych, tnących Lublin na prawo i lewo, wzdłuż i wszerz, jakby chciały podzielić miasto według obliczeń na M4. Zatem bezokiennik obudził się w tunelu. Od początku było mu ciasno, więc

rozepchnął się, rozepchnął... i zawalił piwnicę pod budynkiem poczty przy Placu Litewskim. Jednak biedak nie miał zielonego pojęcia, że to zrobił. Pełen nowej energii i przestrzeni życiowej ruszył w kierunku KUL-u. Po chwili rozepchnął się po raz kolejny. I tu natrafiamy na przykład szczęśliwego rozepchnięcia. Miało ono niewątpliwie miejsce właśnie pod budynkiem McDonalda, gdy do górnika dróg lubelskich trafiły przygotowane już cheeseburgery. Proszę się jednak zastanowić, jak wielkie musiało być zaskoczenie pracownika lokalu na górze, gdy zamiast gotowego jedzenia ujrzał głęboką na cztery metry dziurę. Dziura ta nie mogła jednak stanowić przeszkody w staranowaniu podziemi Grand Hotelu, a co za tym idzie dotarcia do Piwnicy Założycielskiej. Tam nikt nie mógł już odnaleźć Pana Stanisława, gdyż Pan Stanisław zorientowawszy się, co uczynił, bojąc się policji, kopał tak głęboko, że wydostał się gdzieś pod Nowym Ratuszem. I wtedy się zaczęło. To znaczy skończyło, gdyż Pan Stanisław na ciężkim kacu dowlekł się w końcu do drzwi mieszkania i ostatnim wysiłkiem otworzył je. Jednak moment później, przerażony, otrzeźwiał zupełnie.

* * *

Radio wita grubego! – wypalił jakiś głos wewnątrz mieszkania. Pan Stanisław zamarł kompletnie. – Radio wita chudego! – powtórzył ten sam donośny głos. – Radio nie wita!!!- odkrzyknął ktoś z balkonu. Dał się słyszeć śmiech i ogłuszający huk wygaszanego papierosa wyrzuconego na podłogę. Alkoholik stał w progu i nie wiedział, co ma czynić. Za drzwiami widać było nikłe światło żarówki gazowej. W końcu jednak, w przypływie odwagi (a może to była głupota?) przekroczył próg. Szedł ciemnym korytarzem do salonu. Nie było już odwrotu. Jego serce było niczym galareta, którą zaraz napocznie ktoś ostrym sztyletem...

– Pijawki. Panowie, mam pytanie, czy można być bardziej szurniętym od Rotsalta. Nie, otóż nie można, gdyż...

– Nikt nie pije tak jak my, nikt nie pali, tak jak my.

– Pan Stanisław? – zapytał głupio dyżurny starzec, wpatrując się w grających w brydża gości.

– A to może, nie znam, nie znam... – zaczął jeden z gości, ale po chwili zreflektował się – Zaraz, kto? – zaczął szukać wzrokiem intruza – Ach, to pan! Nie nauczyli, że na kacu nie wraca się do domu?

– Nie, nie, to tylko moje przywidzenia. Tunel, ci ludzie.... – bełkotał Pan Stanisław, całkowicie zbity z tropu.

– Tunel, kolego? Tunel ci się przywidział? Ej, Jambski, słyszałeś? Tunel! Hahaha, tunel! Dobre! Tunel! Nas nie zmylisz, koleżko, my wiemy ktoś ty, więc gadaj, gdzie to schowałeś?

– Ale co?

– Słoik! – dał się słyszeć poirytowany głos porucznika Śluszczyka.

– Słoik... słoik... i co? – zapytał kompletnie już zdezorientowany Pan Stanisław.

– I makaron w solance. Nie uczyli? Przedszkole się kłania! Przedszkole, piaskownica, kluseczki, śliniaczek, Lenin z plasteliny! Wszystko już wiemy. Widzisz to okno, mądralo? A chcesz zobaczyć jeszcze lepiej?

– Jeśli już wiecie, to... – zaczął Pan Stanisław, jednakże rozumowanie logiczne okazało się zbyt niebezpieczne. Okno...?

Lot nie był długi. Już po chwili Pan Stanisław leżał wśród bujnych róż, wpatrując się w niebo o barwie rozcieńczonego denaturatu. Róże gniotły i kłuły go na większości powierzchni ciała, ale im usilniej próbował wstać, tym bardziej zagłębiał się w owym – jak powiedziałby Antoszka Rubaszko – pierońskim chaszczyszczu. Wreszcie jednak, krokiem walca drogowego, wygramolił się z zarośli i z niekrytym zadowoleniem poklepał się po brzuchu.

– No, no, niezły ze mnie żuk! Widziałeś, Janusz? A w tej twojej Hameryce, to co? He, he! Leciałem jak rottweiler, co?

Ale Janusz nie słyszał. Zbyt głośno klął konserwator przepływającego koło Islandii transatlantyku. Właściwie nikt nie wiedział o Januszu nic ponad fakt, że ma 55 lat, przebywa za oceanem i „jeszcze może" – nie wiedziano jednak, co może. Antoszka Rubaszko tłumaczył to jako „jeszcze może frytki do tego", co zwykle doprowadzało do spazmów młodą Hanusię Rottenbergów z górnej suszarni.

Tę właśnie Hanusię zobaczył Pan Stanisław, gdy tylko skończył przemawiać do Janusza. Nabrawszy odpowiednią ilość powietrza, wyjął jedną z czterech róż, które uprzednio (świadomie lub nieświadomie) umieścił w kieszeni. Wręczając jej kwiat, ściszonym głosem przemówił:

– *Pardon. Ne parlez pas au chauffe-air. L' issue de secours – c'est ne pas le pissoir. C'est la vie.*[1]

* * *

[1] *(franc.)* Przepraszam. Nie mów do nagrzewnicy. Wyjście awaryjne - to nie jest pisuar. Takie życie.

II

Pan Stanisław był ubrany po bhutańsku. Bhutan był państwem, które stanowiło wielką inspirację dla Pana Stanisława. Jego wola walki była porównywalna z siłą uderzania dzwonów na nepalskich równinach. Jego wiara w sukces była czymś, czego mogli pozazdrościć mu nawet chińscy biznesmeni. Jego inteligencja była zaś... Cóż, nie było jej. Pan Stanisław potrzebował więcej czasu na zrozumienie i zaakceptowanie słów Janusza. Tak, Janusz – myśl, która plącze się i nigdy nie porządkuje. Szyk przestawny, który w założeniu ma odpowiadać rewolucyjnością dawnemu wprowadzeniu systemu W-M przez Chapmana. Tak, była to rewolucja. Rewolucja na miarę największych i na miarę tych, którzy od ziemi nie odrośli na milimetr. Pan Stanisław rozejrzał się po okolicy. Plac zabaw był pusty, a boisko reprezentowało sobą stan tragiczny. Był to problem jedynie dla pana Stanisława, gdyż prawdziwą wartość narodu poznawało się dopiero w sytuacjach podobnych do tej wileńskiej sprzed wielu lat. Prawdziwa wartość, bitność i inteligencja kibiców polskich drużyn stanowiła zagadkę, która nie mogła zostać rozwiązana. Janusz nagle zaśmiał się głośno i wskazał na koszulkę, w którą był ubrany. Nie, to nie mogła być prawda. Nikt nie chciał w to uwierzyć. Wszyscy czekali na wyjaśnienia ze strony bohatera dzielnicy. Nie, niemożliwe, to nie on. To nie może być prawda. Ale jednak, w końcu musiały paść te okropne słowa. Słowa straszne i słowa prawdziwe. – Howard Webb. Nie wierząc własnym uszom dziatki chowały się w krzakach, kobiety uciekały do klatek, a mężczyźni szukali posiłków. Nie było nawet jednego pomieszczenia, w którym polski kibic mógłby schować się przed brutalnością Anglika. Pan Stanisław przyglądał się temu z lekką konsternacją, jakby kiedyś już gdzieś ten obraz widział.

Zaraz, zaraz... Było, minęło. Ale wraca? Czy wraca? Puchar Konfederacji 2009, i dalej, Austria, Copa America. Noce, których nikt nie zapamiętał. Tak, lecz dosyć, dosyć. Nadeszły inne czasy, inna rzeczywistość. Tutaj nikt nie mógł odgadnąć, kim był przedtem, nikt nie mógł zrozumieć, co było czym i kto był kim. Pan Stanisław zresztą także. Nie było sensu się oszukiwać. Nie miał szans w starciu z największym sędzią wszechczasów. Być może wielu z was dziwi się, że to właśnie ten sędzia przypomniał o sobie po latach, ale tak widocznie miało być. Zresztą nie tylko on powrócił. Całkowicie niezależnie od wątków politycznych, po naszej stronie pojawił się potężny sojusznik, sojusznik, który nigdy nie przebierał w słowach, który zawsze do sportu podchodził poważnie i za Billem Shankly powtarzał starą prawdę, o tym, że piłka nożna to coś zdecydowanie więcej niż sprawa życia i śmierci. A był to Lorenz Tandler. Były premier zmierzał do Pana Stanisława dostojnym krokiem z kierunki jednostki wojskowej położonej nieopodal. Uśmiechał się, podawał ręce, ale widać było, że coś wyraźnie go martwi. Tak, nie było wątpliwości. Chodziło o mecz z Irlandią. Było jasne, że bez niego prędzej czy później coś nawali. Jakaś afera kolejna czy coś. Ile było

w historii tych kuratorów w związku? Ktoś w ogóle policzył? Można mieć dosyć. Należy jednak dodać, że Lorenz starał się jak mógł. Nie ulegało to wątpliwości. Jednak jego wysiłki nie mogły zmienić faktu, że boisko przy ośrodku upadało, krówki i świnki tańczyły kankana, a najnowsza Honda rujnowała zabudowania campusu licealnego przy ulicy Teodorczyka. Powietrze wypalało się, trawa gniła, a Jasiek Rottenberg wracał ze szkoły. Przebiegał radosnym krokiem pola i lasy, łączki i drabinki. Wpadł na boisko i pokonywał dawne areny, na których dawno już nie było żadnego z dawnych kolektywów. Biegł w kierunku płotu, jednego z tych, które wiedziały, co znaczy rozdzierać spodnie piątoklasistów. Każdy dobrze pamiętał swoją tutejszą inicjację. Oczywistym było, że Janowi też przydarzy się to samo. Rozważania historiozoficzne? Żaden problem, tylko potem skwar każe powrócić do domu bez oberwanych krzesełek z sali Sekretarza. Jakiego Sekretarza?... Zresztą, mało ich na świecie? Ech, Pan Stanisław obserwował dopiero po raz pierwszy, co znaczy zataczanie się koła historii. I nie miał wątpliwości – wszystko będzie zarazem inaczej i podobnie.

* * *

Nikt nie policzy emocji, których doświadczyła Hanusia nad nieprzytomnym Stanisławem. Jego życie, jakkolwiek naznaczone błądzeniem po powierzchni gruntu, w tej chwili toczyło się jakby gdzieś nieskończenie daleko, poza zasięgiem rakiet stratosferycznych i telefonów satelitarnych... A może jednak toczyło się nieskończenie blisko, w jego najgłębszym wnętrzu... Nikt tego nie zbada, albowiem o ludzkiej duszy wiemy tak mało, że nie potrafimy nawet obliczyć jej gęstości (o czym Janek przekona się najpóźniej za dwa lata). Być może, metafizyczną jego podróż ukształtowała niedawna przymusowa lektura Figury, a być może wczorajszy mecz, oglądany w telewizorze - oknie na świat, zastępującym brakujące okno na podwórze (Antoszka Rubaszko zdążył już zauważyć, że zimową nocą w telewizorze można zobaczyć więcej niż w oknie, a latem w godzinach wieczornych – vice versa.)

Po chwili, dzięki nadgorliwości Hanusi, Pan Stanisław odbywał już kolejną podróż - podróż pełną wybojów i ostrych zakrętów, której celem miały być kolejno dwie izby: izba przyjęć i izba wytrzeźwień. (Właśnie przez tę dwuizbowość Antoszka Rubaszko porównywał dzieje ustawy w parlamencie z dziejami pijaczka.)

Twarz sześćdziesięciokilkuletniej pielęgniarki, podobna do zawieszonej nad oknem pierwszej róży, którą w sześćdziesiątym szóstym dostała od swego przyszłego – dziś już świętej pamięci – męża, falowała w rytm uderzeń amortyzatorów karetki. Jej idealnie sztywne włosy, dodatkowo upięte w kok i zasłonięte białym, wykrochmalonym czepkiem, nie falowały zupełnie. Płat złuszczonego lakieru oderwał się od sufitu i delikatnie, kołysząc się jak październikowy liść, osiadł na koku. Słyszeć dało się skrzypienie podobne do odgłosu towarzyszącego zasypianiu na przesuszonym sianie. W powietrzu unosił się drobny pył, a wszelkie gładkie powierzchnie nosiły ślady kamienia

kotłowego. Przez szeleszczącą, papierową roletę przebijało się ostre, południowe słońce. Nieznośna suchość prowadziła do frustracji niemalże wszystkich. Antoszka Rubaszko w tej chwili by milczał.

Kierowcą karetki nie był jednak Antoszka Rubaszko. A milczeć nie zamierzał. Z kabiny przez wygryzione wokół nitów rdzawe otwory docierał ochrypły głos, tak samo suchy, jak wszystko wokół.

– Taak, kochanie? (---) Żółty? (---) Nie, w trasie. (---) Tym rupieciem, a czym mam? (---) Nie, nie nasze tico! W robocie jestem. Ka-ret-ką. Taa... Chyba sobie kluczem bieżnik wydłubię, bo te opony to łyse jak twoja matka! (---) No przestań! (---) Co? Halo!...

Pan Stanisław nie umiał leżeć. Toteż nigdy nie kładł się, aby zasnąć, ale zasypiał, aby się położyć. A gdy tylko nie spał, gdy tylko był przytomny, wstawał i wędrował. A wędrował tak długo, aż zasnął. Przez lata nauczył się wracać do domu na czas, jednak częste zatrucia zakrzywiały jego świadomość czasoprzestrzeni – a wtedy Pan Stanisław nie wracał na czas i bynajmniej nie wracał do domu. W tej chwili jednak postanowił to uczynić. Tego zaś nie przewidział nikt. Widok Pana Stanisława, kroczącego po podłodze ambulansu w kierunku drzwi doprowadził do konsternacji pielęgniarkę. Dlaczego pielęgniarkę? Czy nie powinno się umieszczać tam trzydziestoletniego chłopa z czerwoną kapotą i zarostem? Powinno się, tak jak karetka nie powinna już być nysą, a jej opony pontonami. O tym wszystkim nie myślał Pan Stanisław. I nie myślał też o wielu innych problemach. Właściwie nie myślał o niczym. Przed skrzyżowaniem ulicy Zana i alei Kraśnickiej wyszedł z ambulansu i oddalił się w stronę zajezdni MPK.

c. d. n.

Michał Maciąg

Alegoria szczęścia



■

Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki.
Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com